№ 18. Warszawa, dnia 23 Kwietnia (5 Maja) 1888 roku.


# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*


## KARTKA WSPOMNIEŃ
### Z WOGEZÓW.

Zebrała

Wł. z R. J.

Któż nie zna, lub niesłyszał o tym pięknym kraju, położonym w samym sercu Renu, jako utworzona ręką przyrody granica, pomiędzy Galliją a Germanją na drodze wielkich podbojów, jakich była widownią od czasów najgłębszej starożytności?

Alzacya zabierana i tracona wielokrotnie przez Francyą i Niemcy, ulegająca podwójnemu ich wpływowi, a mimo to zachowująca własną indywidualność, nieprzestała być łupem nęcącym, o który dobijano się w tej walce.

Stara to walka, trwająca od dwóch tysięcy lat, prowadzona i odnawiana przez wszystkie ludy łacińskie, których Francya jest strażnicą. Cofnijmy się wstecz, do owej mgłą wieków przyćmionej przeszłości, a ujrzym Alzacyę wypływającą z dziejowego zmierzchu przy huku gromo-nośnych pocisków i błysku szpad.

Był to dzień w którym rzymskie legiony rzuciły, po nad Ren pomiędzy Colmarem a Cernay, dzikiego Germańskiego wodza Arjowista z dwunastoma królami Teutońskiemi jego sprzymierzańcami.

Widząc przeważające się na stronę najezdcy zwycięztwo, Gallowie udali się pod opiekę Rzymian.

Gdy jednak dumny Arjowist porozumiéć się nie chciał z Juljuszem Cezarem, ten wystąpił przeciw niemu zaczepnie i pobił najezdcę stanowczo pod Vesentyum, dzisiejszym Besançon.

Wtedy to Cezar okiem geniuszu oznaczył pas ziemi pomiędzy Renem a Wogezami, jako tamę ochronną dla Gallii. I była nią Alzacya do upadku cesarstwa rzymskiego. Zwycięztwa Juljana i Gracyana, zapewniły jej trwałą opiekę Rzymu. Wkrótce jednak wpływ hord barbarzyńskich przerwał tę tamę.

Przez dwa następne wieki widzim Alzacyę gnębioną i niszczoną przez Wandalów, Gotów, Ostrogotów i Hunnów.

Cloris po podbiciu Gallii, przyłącza ją do królestwa francuzkiego i pokój ustanawia, który trwał pod Merowingami i Karolowingami.

Gdy jednak rasa Karolowingów wygasła, cesarze niemieccy opanowali kraj, podczas gdy Francya urządza się zwolna pod Kapetami.

Odtąd w Alzacyi trwają jedynie wojny panów z ich rodzinami. Sprzeczki te zapełniają historyę pod panowaniem Rzymian. Przez cały następnie ciąg wieków średnich, Alzacya ciąży wyłącznie ku Francyi.

Pociągana jest ona ku niej, mniej z widoków politycznych, a bardziej tajemniczym powabem kraju tego, ową ludzkością rycerską jaka jest jednym z najpiękniejszych rysów narodu francuzkiego.

Gdy Alzacya przechodzi pod monarchię francuzką za Ludwika XIV czyni to bez gwałtu, a z dobrej woli.

Jeżeli z drugiej strony reformacya zadzierzgnęła pomiędzy nią a Niemcami silny węzeł duchowy, wielki ruch narodowy jaki uniósł Francyę w czasach rewolucyi, poruszył zarówno Alzacyę do jej wnętrza.

Wtedy to uczuła ona w sobie duszę francuzką.

Oddała się Francyi sprzyjając ideałowi sprawiedliwości.

Ani nieszczęścia, ani widoki lepszej doli, nie są w stanie jej od pierwszej odłączyć. I w chwili gdy uczuwając się szczęśliwą, silna przeszłością o przyszłość pewna, chce przynieść przybranej swej matce daninę najlepszych sił swoich, własnego swego potomstwa, sroga Nemezys wojny, wyrywa ją jej na nowo, aby ją rzucić skrępowaną pod stosy zwycięzcy.

Straszne przeznaczenie, które zachwiało jej szczęściem jej bezpieczeństwem, ale nie jej wiarą jednak wewnętrzną. Widzi ona zdala następstwa jakie przedstawia oderwanie jej od kraju, któremu od wieków pod opiekę się oddała.

Umieszczona między Niemcami a Francyą Alzacya piła jednocześnie z obu tych źródeł.

Mogłyż dwa przeciwne sobie geniusze zlać się w niej bez szkodzenia sobie nawzajem?

W skromnych legendach Alzackich, chcemy szukać rozwiązania tej kwestyi. W obecnej chwili gdy większa część umysłów silnie jest przekonaną o wyższości naszych czasów nad minionemi, uśmiechnie się może niejeden, widząc nas szukających rozwiązania zapytania tego w wiekach *gdy królowa Berta przędła*.

Nie dla takich jednak kreślimy te karty, lecz dla tych, którzy lubią szukać w podaniach psychologii narodów i owej cichej, a tak rozkosznie upajającej poetycznej woni.

Czyż bowiem i w nas samych, jak w życiu narodu tego żywionego pokarmem dwóch ludów, nie istnieją zarówno dwie istoty? Człowiek niedoskonały, prosty, pełen błędów i drugie *ja* obok, ideał przyświecający mu w chwilach siły i zapału. Zechcesz on wyrzec się tego drugiego Bozkiego *ja* poczuwszy je w sobie, ujrzawszy je choćby raz tylko?

A co się trafia w życiu pojedyńczej istoty istnieje i w życiu ludów. Z wierzchu znajdujemy grube głownie czynów materyalnych, literatura daje nam zajrzeć głębiej w sumienie narodów, podanie, legenda, wprowadza w jego wnętrze, którego religia źródłem, poezya formą.

Historya uczy nas czem był ten lud w czasach pierwotnych swego istnienia, podanie odgadywać pozwala czem chciał być on, o czem marzył w najpomyślniejszych chwilach swego życia.

Nie uprzedzajmy się jednak.

Legendy alzackie nie przedstawiają się nam w formie skończonej, jaka porywa, zachwyca. Część większa tychże zaledwie wyłania się z kurzawy wieków, wypadki historyczne nie dozwoliły im się dokładnie rozwinąć.

Są to podania w stanie płynnego fermentu, garstka drobnych nasion, dzikich, w których odgadujemy siłę wegetacyi, jak patrząc na młodą szkółkę drzew las wyobrażamy sobie.

Ujrzemy tu więc podania poetyczne, wizye tajemnicze i wszystkie wielkie wspomnienia jakie płynęły z falą wieków, wszystko to tętniało i żyło, co tętni i śpiewa dziś jeszcze w duszy alzackiej.

Składam wam przeto kilka kwiatów z dolin Wogezów, parę legend barwnych i wonnych tchnieniem poezyi jak one.

* * *

Gdy się przebiega tę obszerną winnicę, noszącą nazwę równiny Alzackiej, wzrok spotyka na horyzoncie masę zbalwanioną ciemno błękitnej barwy, są to Wogezy.

U stóp ich widać, to pola uprawne osłonięte kępami drzew zielonych, kryjących wesołe wioski, lub w niebo wybiegające wierzchołki skał, tworzące najpowabniejszą rozmaitość dla oka.

Do tego to łańcucha gór, przywiązane są najdawniejsze podania, wielkie legendy kraju, jakby do miejsca świętego.

Przestąpmy krańce winnic wieńczących szczyty gór, wejdźmy w niezliczoną moc dolin, dosięgnijmy szczytów wyniosłości przez lasy dębów, jodeł i sosen a inny widok zupełnie wzrok nasz uderzy.

Z wierzchołka Ballonu, Honecku, Bressoiru lub Dononu, szczyty gór jasno się rysują.

Po nad wpadłemi wgłębieniami dolin, wierzchołki Wogezów znaczą lasy jak wyspy. Nie są to garbate ostrza Alp lub Jury, lecz szerokie wyniosłości, których grzbiety przedłużone przedstawiają kształty olbrzymich zwierząt przedpotopowych. Przejdźmy po tych skalistych wyniosłościach, a ujrzemy się na raz w innym świecie, w miejscach stworzonych przez przyrodę do zebrań religijnych. Życie obecnych czasów zostało w dolinach, tu otacza się widok rozległego kamiennego oceanu. Miasta, zamki obronne, moc niezliczona zwalisk, znikają pod naszemi stopami.

Jesteśmy zdala wieków średnich, w epoce przedhistorycznej. Na wierzchołku Trenichel, wychodzącym z Brésoiru, po za zamkami Ribeaville, dzikie skały prześcigają się w wysokościach. Są to granitowe bloki, wklęsłe lub czworokątne, olbrzymy noszące na piersiach lasy zamiast zbroicy patrzące w niebo głowami nietoperzy, przedłużający w próżnię paszczęki dzików.

Rozrzucone z rzadka jodły, stoją niby strażnice samotne, dalej chaos skał wali się w las.

Wszędzie na kształtach kamiennych zaciosów, zda się widoczną ręka człowieka pod dziwactwami przyrody.

Lecz otóż burza nadchodzi. Mrok szary zaległ horyzont, gęste chmury otaczają górę, błyskawica oblewa ją światłem ciemno błękitnem, doliny posyłają wzajem gromy piorunów, przejęty grozą zdajesz się widzieć Tarana Gallijskiego, ostrzącego kamienny topór o zręby skał, słyszeć głos Ezusa wychodzący z lasów smaganych huraganem.

Zwolna burza się uspakaja, prowadźmy dalej przechadzkę po szczytach z południa na północ, a znajdziemy ślady coraz bardziej widoczne ludów pierwiastkowych, zniknionej cywilizacyi. Na Sznebergu znajdziesz kamień od ofiarnego ogniska, doskonale wydrążony, na Dononie resztki świątyni Gallijskiej, u świętej Odyli nakoniec w Menelsztejnie, mur pogański przedziwnej konstrukcyi, który od setek lat jest rozkoszą turystów, a rozpaczą archeologów.

Zostawmy jednak dochodzenie początków owych ludów uczonym specyalistom, a idźmy w wiek Gallów i Celtów, jaki można nazwać pierwszym historycznym wiekiem Alzacyi, ponieważ wyrył on tak w mowie mieszkańców tejże jak i podaniach niezatarte ślady.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

## Smutnemu dziewczęciu.

Żal ci że przyszła zima,
Z wiatrem i śniegiem,
Ale wiecznego nic nie ma
I wszystko kolejnym biegiem
Jest i przeminie...

Że drzew zielone sukienki,
Znikły bez znaku,
Uwiędła róża na krzaku
I poszły z nią do trumienki
Twe georginie.

Że polnych ptaków chorały,
Nie pieszczą uszka,
Że na fujarce skonały,
Prostacze nuty pastuszka,
Co grał w gęstwinie...

Wiosennych ulud i rojeń
I lata czarów,
Miłosnych serca upojeń
Młodości darów —
Szkoda dziewczynie...

Ale choć zima niweczy,
Tych marzeń roje,
O twe się serce nie boję,
Bo znów je wiosna uleczy,
Wskrzesi... ocuci...

Ożywcze tchnienie owionie,
Tajnie serduszka,
W powietrzu zabrzęczy muszka,
Na nowo drgnie życie w łonie
I szczęście wróci...

*Bolesław Szen.*

---

# NIE UTONĄŁ.

### NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dokończenie.)

Po twarzy Jana przelatuje błyskawica. Nie ręczymy czy nie budzi się w nim chęć gorąca, pochwycenia w objęcia tej zachwycającej świeżością oryginalnego wdzięku istoty, która zodwagą kobiety i prostotą dziecka, oddaje mu wszystko bez uwagi, na całą smutną dziwaczność jego położenia. Jeśli przecież istniało gwałtowne to pragnienie, przechodzi bez wrażenia wobec wielkiej naiwności narzeczonej, która cisnąwszy bezwiednie płomień w jego serce, z właściwą sobie ruchliwością umysłu, przerzuca się odrazu do innego przedmiotu.

— W tryumfie moim znajduję przecież kroplę ostrej goryczy! — mówi seryo, potrząsając kruczą główką. — W czasie ludzkich gadanin, podtrzymywał mą dumę wielki spokój sumienia. Sądziłam, że owego księżycowego wilgotnego wieczora, byliśmy oboje niewinni, jak aniołowie Raju. Tymczasem, o stujężyczny, bajeczny potworze, w łonie puszcz ciemnych, mogłabym ci pokazać tylko siebie. Mój towarzysz zdrajca, nie był bez winy i odtąd, nie gwarantuję już na świecie, za uczucia niczyje. Miłość nasza, poczęła się istotnie w mgłach wieczornych, powstających z głębin leśnego jaru. Otóż znowu chwila odbłysku krasomówczego natchnienia. To szczęście, że wychodzę zamąż, gdyż inaczej obawiam się, iż kiedykolwiek zbudziłyby się we mnie poetyczne zdolności.

— Facecye! — oburza się od kominka ksiądz kanonik. — Panna Anna z egzaltacyą, to jakby naprzykład fiołek wyperfumował kto paczulą!

W godzinę potem, Jan nie zmieniwszy nawet stajennej swej odzieży, w familijnem gronie siedzi przed kominkiem, zachwyconemi oczami ścigając składną postać młodziutkiej narzeczonej, która promieniejąca szczęściem i urodą, krząta się po

pokojach, rozpakowując na gwałt kufry, spakowane do drogi.

W pałacu całym, aż do stodół, obór i śpichlerzy, wielkie wzburzenie umysłów.

Wszystkie usta zajęte wspólnem podawaniem sobie faktu, którego znaczenia sam ekonom, ani nawet gorzelany, wytłomaczyć nie jest w stanie.

Kamerdyner Walenty, trzymając się za głowę wpadł z salonów do kredensu, głosząc niebywałe, trudne do pojęcia rzeczy, od których ludziom kręci się w głowach.

— Panie nie jadą do Warszawy. Sam hrabia wysłał go z rozkazem do stajen, by Antoni rozebrał konie, przygotowane do wyjazdu. Jan zaś, siedzi sobie z państwem za pan brat na kanapie, pije wino, hrabina trzyma go za rękę, sam zaś ksiądz kanonik całował go i ściskał ze dwadzieścia razy.

Gdy echo tych wieści dochodzi do kuchni, gdzie z zdwojoną energią, siły kominowego batalionu pracują nad przygotowaniem wcześniejszego na dziś obiadu, stary kucharz Legumina, mający zwyczaj domyślać się zawsze wszystkiego, wyciągnąwszy z pod białego fartucha tabakierkę z brzozowej kory, tajemniczo kiwa do niej głową.

— Musi coś jest — mruczy filozoficznie, zmrużając lewe oko.

Na tem przecież kończy się ostatni wyraz zwykłej jego domyślności i jak szepcą sobie pocichu kuchciki szczerząc w kącie zęby, nawet on nic nie wie.

— Wiem kpy, ale nie powiem! — woła chwytając za warząchwię zaperzony kapłan domowego Znicza.

Przez chwilę rozlega się cienki pisk młodych dwóch głosików, poczem przy kominie zalega cisza. Słychać tylko skrzyp obracanego szybko rożna i trzeszczenie skórki indyka, przypiekanego nad płomieniem.

Tajemnica nie opuszcza ani na chwilę wywiędłej twarzy pana Leguminy, lecz o ile domysły chłopców okazałyby się mylnemi nikt nie zgłębi.

W salonie tymczasem, niedawno cichym i smutnym, gwarno teraz i wesoło, choć śnieg sypie z nieba na ziemię jak przedtem i wiatr jęczy żałośnie w konarach lip ogrodu.

Myśl o rozstaniu, wygnano bezpowrotnie z ścian miłego tego zacisza, wszyscy radzi, że się nierozłączają, szczęśliwi tem więcej, że przybył im jeden jeszcze obcy ptak zbłąkany, którego przyjmują do własnego gniazda.

— Facecye! — pociągając węgrzyna dowodzi kanonik. — Im nas więcej, tem lepiej, bo sercom cieplej. Głupcy tylko trapią się, gdy ktoś w dom przychodzi, mądry wie, że wtedy dopiero boli, gdy ktoś z nas ubywa.

Panna Anna całem sercem podziela to zdanie. Dumną jest jak królowa ze swego nabytku i za skarby świata nie oddałaby go nikomu. W młodziutkiem jej płomiennem serduszku, pierwsze uczucie z czarodziejską szybkością wyrasta, zdradzając skłonność silną, do fanatycznego uwielbienia człowieka ukochanego.

Jak twierdzi Jan żartobliwie i w tem jeszcze tkwi drobna, maleńka szczypta dzieciństwa, za której sprawą, postać jego wyrasta w jej oczach do wysokości bohatera.

Dziewczynka przyjmuje tę uwagę z wielkiem oburzeniem.

— Więc pozostanę dzieckiem na zawsze! — odpowiada rezolutnie. — Będziesz pan miał przyjemność, przebyć życie całe z osobą nieletnią, gdyż nie marz o tem, by się to we mnie zmieniło.

Korzystając z zebrania najbliższych przyjaciół, bohaterka nasza pragnie gorąco dziś jeszcze odbyć solenne, urzędowe zaręczyny. Zamiarowi temu opiera się przecież stanowczo sam narzeczony.

Jak przyznaje się z prostotą, w całym swym ubogim, stangreckim majątku nie posiada żadnego najskromniejszego choćby pierścionka, któryby mógł ofiarować w zamian za kosztowny, wielki brylant, błyszczący jak iskra na paluszku hrabianki. Po ten ważny symbol słodkich więzów szczęścia, potrzeba pisać daleko, aż do matki, mającej klejnoty familijne w osobistem swem posiadaniu. Powyższa ta przyczyna, okazałaby się dość ważną, gdyby nie druga, do której młody człowiek przywiązuje jeszcze większą wagę. Prosi on usilnie, by rodzice napisali, lub wysłali w Poznańskie kogoś od siebie, któryby sprawdził tam tożsamość i wartość jego osoby. Bez tego, nieznając go hrabia, mógłby wydać uroczą swą Aneczkę za samozwańca, na co on, jako najbliżej teraz interesowana osoba, pozwolić nie może w żaden sposób.

Panna Anna wszystkie te porządki uważa wprawdzie za zupełnie zbyteczne. Przeczytawszy list Jana do matki, znając zresztą jego samego dość dobrze, nie wymaga innych dowodów, choćby nie widziała nawet dokumentów rodzinnych, które młody chłopak złożył w ręce jej ojca. Na tym przecież, jak na każdym innym punkcie, Jan pozostaje niezłomnym.

Tegoż dnia wieczorem, już nie na schodach w zasypanej sianem sieczkarni, lecz przy rzeźbionem pięknie w kosztownem drzewie biurze, w gabinecie hrabiego, ex stangret kreśli szybko następujące słowa:

Wańkowce, d. 30 Października 188* r.

Droga matko!

Nic w przyrodzie nie ginie. Prawda jak świat stara i niezbita. Mówiłem ci zawsze, pisałem nawet w ostatnim mym liście, że inteligencya i istotna wartość człowieka, nie znikną, ani utoną, choćby... zaniosło je się do stajni, jak uczyniłem to ja z mojemi. Czy posiadam te przymioty, lub w jakim stopniu rozwoju, tkwią one w mej istocie? tego dotąd nie jestem pewien. Losy dobre, tak dziwnie pokierowały mą osobą, tak się nią zaopiekowały troskliwie, że czuję się prawie upokorzonym, iż we wszystkiem co się stało, nie ma nic prawie własnej mej zasługi.

Okoliczności, wypadki, trochę złości ludzkiej i wielka dobroć młodziutkiego dziewczęcego serca, splotło się silnie, solidarnie, na szczęsną mą dolę. W każdym razie dowodzi to tylko, że przed żadną pracą człowiek cofać się nie powinien.

Nie unicestwia go nawet tak prosty jak mój zawód. Nicestwem ludzkiem jest brak energii. Tych co śmiało idą naprzód, osłaniają wypadki, czy wyższa mądra Opatrzność.

Porzucając was przed kwartałem, za całe dobro miałem też tylko tę garść woli i wstręt do życia bezczynnego. Szukałem pracy, a znalazłem wielkie szczęście. W domu, do którego wszedłem jako prosty sługa, przyjęto mnie dziś na syna. Razem z szacunkiem, jaki pozyskałem u ludzi zacnych, niepospolicie rozumnych, zdobyłem sobie... nie, to ona mnie raczej zdobyła, moja śliczna, urocza, dzielna i jak anioł słodka narzeczona.

Odebrawszy to pismo, droga matko, zbieraj się prędko i przyjeżdżaj tu do nas, Winną jesteś podziękowanie rodzinie, która tak ochotnie przyjęła mnie do swego grona. Gdy doniesiesz kiedy można się ciebie spodziewać, wyjadę do Lwowa na twe spotkanie.

Czyśmy się spodziewali w chwili rozstania, podobnego rozwiązania stajennej mej karyery? Co ta dziewczyna upatrzyła sobie do mej osoby? Niekiedy, przychodzą na mnie chwile goryczy, że biorę wszystko, a daję tak mało...

— Panie, tego pisać nie pozwolę! — odzywa się dźwięczny głosik, tuż za ramieniem piszącego.

Równocześnie drobna rączka wyrywa mu pióro z palcy, energicznym ruchem przekreślając ostatnie słowa listu.

— Złych, brzydkich myśli, nie uwiecznia się na papierze! — woła dziewczynka, zaiskrzonemi oczami patrząc w twarz Jana.

— Prawda egzystować może zawsze i wszędzie — odpowiada śmiejąc się młody człowiek.

— Prawda! Zróbmy rachunek, mój panie, a zobaczymy, a zobaczymy kto ma więcej do dodania.

— Dziecko—przemawia Jan łagodnie—wszystko jest po twej stronie.

— Znikomości światowe!—z najwyższą pogardą rzuca dziewczyna. — Tytuł, pałac, majątek. Jeśli zechcesz takie głupstwa brać w rachubę, to dodaj jeszcze tę suknię, pierścionek i rękawiczki do łokcia. Z tymi skarbami okaże się, że nie pójdę za pana, gdyż nie mogę zrobić mezaliansu. Zobaczmy teraz, jaki to kapitał moralny dajesz pan mej osobie. Jesteś dzielny, rozumny, szlachetny.

— Dodaj pani do tego, wysokość mego stanowiska.

— Panie! — uderzając nóżką o posadzkę, woła panna Anna prawie z gniewem. — Nie chodzi mi o to czem jesteś, tylko kim jesteś! Janie — dodaje słodko, niemal ze łzami — jeśli nadal zechcesz mi dokuczać w podobny sposób...

Przerywa jej gwałtowny ruch Jana, który nagle porywa ją w ramiona i dalsze słowa nikną w uścisku na jego piersi.

Po chwili, z właściwym sobie rezolutnym wdziękiem, dziewczynka wyswobadza się z objęć narzeczonego.

— Jesteś napastnikiem i zburzyłeś mi fryzurę! — przemawia z ślicznym dąsem i nastroszonemi brwiami. — Nie spodziewałam się tego po twej powadze. Idź pan precz, nie chcę cię widzieć na całe pół godziny.

Mówiąc to panna Anna, siada na miejscu Jana, w wielkim ojcowskim fotelu i rozłożywszy świeży arkusz papieru, zabiera się do pisania.

— Czy to będzie formalny akt zerwania? — pyta Jan wesoło.

— Spodziewam się. Możesz pan stanąć za memi plecami i czytać co będę pisała, jak czyniłam to ja przed chwilą.

Umoczywszy pióro w kałamarzu, bohaterka nasza kreśli potem co następuje:

Droga, kochana ciociu!

Sądzę, że droga ciocia, pamięta jeszcze o mej na świecie egzystencyi? Ja również, nie zapomnę jej dobroci dla mnie nigdy! Pomnąc na zaszczytne dla mnie względy, jakiemi otaczałaś zawsze skromną mą osobę, poczuwam się do słodkiego obowiązku, przypomnieć się jej sercu, jak również donieść, że od dziś popołudniu, zaręczoną jestem z panem *,*skim, czyli ze znanym drogiej cioci stangretem Janem. Dziwnym zbiegiem lo-

sów, raczej zaś przez logiczność prawdziwych, chwilowo zamaskowanych faktów, okazał się istotnie, zaczarowanym królewiczem!

Sądzę, że ta wiadomość, sprawi drogiej cioci prawdziwą radość, tem więcej, że jej łaskawość, odegrała w mem szczęściu czynną rolę, wróżki dobroczynnej. Bez tej pomocy, ja sama nie zdołałabym może nigdy, uwolnić mego ukochanego z pod czaru, jakim się otoczył.

Wdzięczność moja przechodzi wszelkie granice, jakie mogą się pomieścić w rozprzestrzenionej choćby radością ludzkiej duszy.

Jeśli Endymion ciekawym jest dziś jeszcze, jak wygląda mój ideał, który ongi, w mej wyobraźni nie skoncentrował się jeszcze w pewne stałe kształty, to objaśnij go ciociu, iż obecnie przybrał on stanowczo postać stangreta Jana i w tej już formie pozostanie na zawsze mym ideałem.

Resztę szczegółów odkładam do zobaczenia, pozostając na wieczność szczerze wdzięczną

Anną.

— Otóż jest! — woła rzucając pióro dziewczynka — pamięć ta należała się z mej strony, całej lubej tej rodzinie. Wiedz pan o tem, że wspaniałomyślnie oddaję zawsze cesarzowi, co jest cesarskiego.

KONIEC.

---

# TEATR.

---

**Nowy dziennik**, komedya w 3 aktach, przez Michała Bałuckiego.

Jeżeli zechcemy podług przyjętej powszechnie normy odmierzyć cyrklem długość scen, systematyczne rozwinięcie akcyi, stopniowanie efektów, to „Nowy Dziennik”, trudno nazwać komedyą w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Jest-to raczej szereg obrazków zręcznie powiązanych ze sobą, galerya typów o dokładnie określonych charakterach, które łączą się w jedną całość za pomocą kilku rysami naszkicowanej intrygi. To co powiedzieliśmy nie stanowi bynajmniej ujemnej strony „Nowego dziennika”, Michał Bałucki albowiem należy do rzędu autorów utalentowanych, sympatycznych: umie bawić bez używania dwuznaczników, zająć bez naciągania sytuacyi, rozweselić bez wprowadzenia niesmacznych epizodów, jednem słowem, pozostaje zawsze tem czem być powinien pisarz swojski, uposażony obserwacyjnym darem i zdolnością ożywiania przedstawionych przez siebie postaci.

W „Nowym dzienniku“ intryga prawie żadna. Pan Rzepkowski zamożny obywatel ziemski, żądny, jak to się często na prowincyi zdarza, godności i zaszczytów, pragnie zostać deputatem, a że kogo innego obrano, jedzie do miasta w celu założenia tamże gazety, za pomocą której mógłby zrąbać bez litości mniemanych swych przeciwników. Zgromadzeni ad hoc w jego mieszkaniu dziennikarze, literaci, reporterzy i t. d., to zachwycają nowicyusza górnolotnemi frazesami, które on bierze za głęboką erudycyę, to znów przerażają cynizmem.

Oszałomiony wszystkiem co widzi i słyszy, ulega w końcu na pustych słowach opartej retoryce pana Rozpędowskiego, jednego z wspomnianych przedstawicieli prasy i postanawia pomimo tyloletniego pielęgnowania konserwatywnych zasad, nadać świeżo erygowanej publikacyi barwę demokratyczną.

Na szczęście owo nagłe i niczem nieuzasadnione odstępstwo od wyznawanych dotąd zasad, nie przyszło do skutku; stanęli mu bowiem na przeszkodzie pp. Czeczugowie syn i ojciec, pierwszy w widokach miłości dla jego córki, drugi przynoszący jako deus in machina, wiadomości o obraniu zachwianego w swych opiniach szlachcica, nie deputatem już ale marszałkiem powiatowym. Wszystko kończy się jak Bóg przykazał, pan Rzepkowski nie dbając o najeżane kolcami tryumfy dziennikarskie, będzie sobie spokojnie marszałkował, gazeciarze i literaci poprowadzą dalej bezkrwawą wojnę... na pióra, a dwie córki niedoszłego publicysty (bo i druga także znalazła dla siebie męża w osobie pana Buraczyńskiego inżyniera) staną wkrótce na ślubnym kobiercu.

Pomimo tak błahej treści komedya Bałuckiego odznacza się niepospolitemi zaletami. Z wyjątkiem pani Trzepałkowskiej, która niczem nie usprawiedliwia swego nazwiska, jakoteż Wścibińskiego, Galimatiasa i Szołdraczyńskiego, figur epizodycznych potrzebnych dla dopełnienia ruchliwej akcyi ostatniego aktu, wszystkie osoby do sztuki wchodzące posiadają charaktery nakreślone śmiało i wyraźnie. Są to ludzie z ciała, krwi i kości, nie zaś istoty bezbarwne, anemiczne, jakie niestety zbyt często w oryginalnych płodach mniej obeznanych z techniką sceniczną autorów, spotykać nam się zdarza. Ci panowie sądząc, iż z łam felietonowych można jednym skokiem dostać się na deski teatralne, każą np. byłemu wojskowemu kląć i kręcić wąsa, szlachcicowi powtarzać ciągle „mości dobrodzieju”, suberetce chichotać, kochankowi przemawiać pathosem i myślą, że tym sposobem nadadzą swojem kreacyom wybitne charaktery. Innym znowu razem stawiają przed publicznością manekinów każąc im wygłaszać formułki filozoficzne, w przekonaniu, iż publiczność nie dojrzy sztucznych sprężyn poruszających te lalki. Bałucki niczem podobnem nie grzeszy, wprawdzie czasami lubi używać szarży, lecz i wtedy prawa zdrowej logiki nie zostają pogwałconemi. Szarża to jego słabość, w „Nowym dzienniku” naprzykład cokolwiek przesadzonemi wydają nam się charaktery Rzepkowskiego i Heli. Niepodobna ażeby ziemianin który w praktyce życiowej nabrał niejakiego doświadczenia, był do tego stopnia ograniczonym; trudno także przypuścić ażeby panna posiadająca jakie takie wychowanie, przysyłała całusy od ręki pierwszemu lepszemu przechodniowi z ulicy, a jednak owe ujemne strony nikną w bogactwie dodatnich szczegółów całości.

Wyborną jest scena trzeciego aktu, przedstawiająca posiedzenie dziennikarzy i literatów przy narodzinach powstać mającego dziennika. Ów Rozpendowski, który niby gromowładny Jowisz, piorunuje na wszystko i wszystkich uwielbiając tylko własny talent, ów Filusiński, który w wymyślaniu każdemu przeciwnikowi widzi ideał krytyki, ów wreszcie Nurkiewicz, mający przekonanie, że jedynie wydobycie starych szpargałów z teki zapomnienia, zdoła podtrzymać rozwój literatury, czyliż to typy wyłącznie galicyjskie? Azaliż takich Rozpendowskich zarozumialców, co liznąwszy na kursach uniwersyteckich trochę nauki, nie wierząc w Boga, palą samym sobie wonne kadzidła: takich Filusińskich, uznających dział krytyczny za pole do bezczeszczenia każdego, który ich zdania nie podziela: owych wreszcie Nurkiewiczów, szukających życia nie w pięknym świecie lecz wśród pyłu zapleśniałych ksiąg, nie znajdzie i pomiędzy nami? Prawdziwy talent komedyopisarski odtwarzając obyczaje jednej prowincyi, zagłębia mimowolnie obserwacyjny skalpel i w inne części zbiorowego ciała; jest to skutek zapatrywania się na rzeczy z wyższego punktu widzenia: wyłączność albowiem bywa zwykle cechą miernoty.

Artyści nasi grali koncertowo. Wszystkie sceny zbiorowe oddane zostały z werwą, ruchliwością, życiem, wszystkie szczegóły wycieniowane subtelnie. Pan Rapacki w roli starego szlachcica przedstawił typ o jakim chyba marzył autor kreśląc swoją kreacyę. P. Szymanowski tak umiał uchwycić charakter literata słabszego kalibru, iż patrząc na niego każdemu z widzów stawiały na myśli owe brutalne napaści, służące w braku argumentów za broń nieuczciwym rzemieślnikom pióra. Pan Wolski uosobił i dykcyą i postawą i powagą ruchów typową postać pogańskiego bóstwa, a raczej pytyjską wyrocznię rozdającą laury nieśmiertelności podrastającej młodzieży. Wszyscy inni dopełniali wybornie całości wdzięcznego utworu. Pozostaje nam jeszcze tylko definicya gry panny Ireny Trapszównej.

Jeżeli rzeczoną ocenę zostawiliśmy na koniec to dlatego, że powodzenie młodziutkiej kapłanki melpomeny w roli Heli, wiąże się niejako z wyrażonem dawniej przez nas zdaniem.

Objąwszy od pół roku dział krytyki teatralnej w niniejszem piśmie, kładliśmy zawsze nacisk na niewłaściwe rozdawanie rol naiwnych, które gdy nie zostają powierzone tak wysoko utalentowanem artystkom jakiemi są panna Czaki lub nieobecna panna Wisnowska, psują harmonią wystawionego utworu. Kilkakrotnie nawet wspomnieliśmy, że jeźli reżyserya pragnie wprowadzić młode siły na sceniczną arenę, powinna przypomnieć sobie o relegowanej dotąd na ostatni plan pannie Trapszównie, i dziwiliśmy się dla czego nie dają jej większego pola do wykazania swych rzeczywistych zdolności. Przypadkowo zapewne (bo wątpimy ażeby nasze sprawozdania rozważała pilnie reżyserya) artystka w której przyszłość dramatyczną niezachwianie wierzymy, dostała rolę wybitną i wnet przepowiednie nasze spełnionemi zostały. Oklaski publiczności, uznanie całej prasy, udobruchane oblicza nie tak dawnych jeszcze przeciwników, były nagrodą dla tyle posiadającej scenicznych warunków aktorki. Wdzięk uroczy, poprawna dykcya, ruchy naturalne i swobodne, rzewność w głosie, a nadewszystko owo coś nieokreślonego niby dalekie echo, niepochwyconego niby lotny puszek płynący w powietrzu, owo coś co zowiemy iskrą Bożą, stanowi główną przyczynę powodzenia świeżo erygowanej naiwnej. Dotąd za ciasno było tyle obiecującej pracowniczce sceny w szczupłym obrębie epizodycznych ról, szerszy horyzont da jej pole do stopniowego rozwoju wrodzonych zdolności.

Szczęść Boże dalszej pracy!

*Ludwik Niemojowski.*

---

# WOLA.

PRZEZ

## JERZEGO OHNET'A.

PRZEKŁAD

*Bronisławy Kowalskiej.*

(Dalszy ciąg.)

Thauziat ubierał się modnie i elegancko a pomimo to potrafił unikać przesady i wszyscy powszechnie chwalili jego dobry gust.

Będąc bardzo młodym chłopcem przyjechał do Paryża i z niezmierną śmiałością rzuciwszy się w wir interesów, dorobił się ogromnego majątku. Lereboulley cenił go bardzo; spotkali się kiedyś w jakiemś bardzo wesołem choć niezbyt dobranem towarzystwie i odtąd Thauziat stał się towarzyszem i przewodnikiem pięćdziesięcioletniego człowieka i wtajemniczył go tak dobrze we wszystkie zakazane rozkosze tego świata, że finansista przez wdzięczność utorował mu drogę do fortuny.

Tak więc stosunki szczerej życzliwości łączyły od lat dziesięciu Lereboulley i Thauziat i jeden o drugim mógłby wiele opowiedzieć przygód zarówno zabawnych jak niebezpiecznych. Walki miłosne, staczane między czterema ścianami bogatych buduarów i walki pieniężne przeprowadzane z chłodną rozwagą na giełdzie, dostarczałyby do tych opowiadań obfitego tematu.

Znajomi powtarzając o nich ze śmiechem, że Thauziat i Lereboulley maja na sumieniu niejednego trupa, nie domyślali się, że tak mało mijali się z prawdą.

W ogóle niebezpieczną było rzeczą żartować wobec Thauziat, który słynął jako jeden z najzręczniejszych szermierzy w Paryżu i na pistolety nie miał prawie sobie równego, trafiając na trzydzieści kroków do celu.

Thauziat był to najdoskonalszy typ błędnego rycerza, różniącego się tak dalece od naszego pospolitego świata, że spoglądał nań pogardliwie przewyższając go o wiele pięknością, odwagą i rozumem.

W piętnastym wieku, człowiek z takim jak Thauziat samodzielnym charakterem, stałby się bezwątpienia jakim sławnym rycerzem, który stworzyłby sobie księztwo w zawojowanym siłą swego oręża kraju a wspierając budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy, budowałby miasta z marmuru, zaludniał je posągami i ozdabiał obrazami, których posiadaniem szczycą się współczesne muzea.

Był to Sforza lub Colonna, lecz skrzydła jego podcięte wymaganiami obecnej cywilizacyi, nie mogły rozwinąć się do szerszego lotu. Pomimo jednak przymusowego panowania nad porywami swego charakteru, Thauziat był uosobieniem siły i śmiałości, która na pierwszy rzut oka wyróżniała go z pośród tłumów.

Zamiłowany we wszystkiem co piękne i artystycznie wykończone, wydawał mnóstwo pieniędzy na przeróżne zabytki sztuki, które dobierał z gustem i upodobaniem prawdziwego znawcy.

Mieszkał przy ulicy d'Antin w ślicznym pałacyku, umeblowanym z najwyszukańszym przepychem. Obrazy, których pełno było wszędzie, oprócz wartości artystycznej, miały jeszcze swoją historyą, gdyż każdy z nich był poprzednio ozdobą niejednej galeryi. Dom prowadził na wielką skalę, konie jego na wyścigach pierwszą zyskiwały nagrodę.

Powodzenie w świecie zjednało mu wiele przyjaciół, z których przyjaźni potrafił korzystać i nieprzyjaciół, których umiał natchnąć poszanowaniem względem siebie. W naszym wieku gdzie wszystko jest tak szare, jednostajne i pospolite, człowiek ten odznaczał się oryginalnością i zaliczał się do niewielkiego zastępu zasługujących na uwagę osobistości w Paryżu.

Przyjaźń jego dla Ludwika Hérault była dla tego ostatniego rodzajem sławy i zwróciła na niego uwagę świata. Towarzysz Klemensa stał się kimś chociaż świecił pożyczanem tylko od pierwszorzędnej gwiazdy światłem.

Poznali się w Wiedniu, wśród dość niezwykłych okoliczności: Thauziat wracając z Karlsbadu został zaproszony w Wiedniu na kolacyą do Carlotty Brunnen, jednej z najsławniejszych tancerek w Europie. Pomiędzy gośćmi znajdował się również Ludwik Hérault, który dążąc do Morawii na polowanie cietrzewi, wprowadzony był do salonów pięknej Carlotty przez lorda Eddisley swego przyjaciela z klubu.

Wśród czysto niemieckiego towarzystwa, tylko Thauziat i Ludwik byli przedstawicielami żywiołu francuzkiego. Francya wtedy w dziwnym była nastroju, obawiano się nowej wojny, świeżego najścia sąsiadów z nad Renu po za granice Wogezów; ztąd niechęć i nieprzyjaźń ku Niemcom wzrosła jeszcze bardziej.

Klemens de Thauziat przyzwyczajony błyszczeć i zwracać zawsze na siebie uwagę gdziekolwiek tylko się ukazał, nie myśląc o tem, że znajduje się wśród towarzystwa samych Niemców, rozwinął cały zasób wrodzonego dowcipu i starał się olśnić zgromadzenie jak gdyby był otoczony samemi przyjaciołmi.

Kobiety, które są zazwyczaj kosmopolitkami gdy idzie o ładnych chłopców, stanęły wszystkie po jego stronie a widocznie uprzejmość tych pań podrażniła innych współbiesiadników. Powoli Thauziat tak ożywił towarzystwo, że goście o północy zasiadłszy do stołu, z każdą chwilą stawali się coraz weselsi. Bohaterem wieczoru był oczywiście Thauziat.

Nareszcie o drugiej po północy gospodyni domu wzniosła toast na cześć tak miłego gościa; gdyby poprostu była wypiła zdrowie Klemensa, wszyscy mężczyzni byliby bez wahania poszli za przykładem pięknej tancerki, lecz przyszło jej do głowy, aby zarazem uczcić Ludwika Hérault i obydwom Francuzom okazać jednaką przychylność. Podnosząc zatem do góry kielich z pieniącym szampanem, zawołała:

— Panowie! wypijemy zdrowie naszych przyjaciół z Francyi!

Pomiędzy współbiesiadnikami znajdowało się dwóch wojskowych niemieckich, jeden z nich rodem z Bawaryi, był jasnowłosym szlachetnym baronem, wysokiego wzrostu, drugi mały, niepozorny i pochmurny służył jako kapitan w wojsku pruskiem.

W chwili gdy Carlotta wniosła toast a goście wtórowali jej okrzykiem zadowolenia, dał się słyszeć ostry dźwięk tłukącego się szkła. To dwaj oficerowie niemieccy upuścili kieliszki na stół. Nastała chwila przykrego milczenia, którą Klemens przerwał pierwszy, mówiąc jak najspokojniejszym w świecie głosem:

— Ci panowie widocznie nie są spragnieni, lecz może chcieliby nieco świeżem odetchnąć powietrzem?

Kończąc te słowa wstał od stołu a Niemcy poszli za jego przykładem. Thauziat skinął na Ludwika i zwracając się do biesiadujących, dodał ze swobodnym uśmiechem:

— Proszę, nie przerywajcie sobie państwo, za chwilę będziemy na wasze usługi.

Z powodu gorąca drzwi wiodące na balkon były otwarte i Thauziat ze swymi towarzyszami skierował się też na balkon u stóp którego przepływała maleńka odnoga Dunaju. Tysiące gwiazd odbijało się migotliwem światłem w spokojnej, jakby uśpionej wodzie a pyszna noc letnia pełna woni, blasku księżyca i tajemniczych jakichś szmerów, mogła w istocie zachęcić do napawania się jej urokiem.

Thauziat zapaliwszy papierosa zaczął jak najspokojniej rozmawiać z olbrzymim Bawarczykiem. Na ustach jego lekki błąkał się uśmiech podczas gdy Bawarczyk, czerwony z gniewu, przecząco potrząsał głową. Ludwik tymczasem rozpoczął rozmowę z małym kapitanem. O czem rozmawiali nikt się tego nie dowiedział, lecz po kilku chwilach dał się słyszeć podwójny okrzyk.

Goście zwrócili się w stronę balkonu i ze zdumieniem ujrzeli na nim tylko dwóch Francuzów, którzy spokojnym krokiem weszli napowrót do sali jadalnej a Thauziat zwracając się do obecnych rzekł:

— Zaszło tu małe nieporozumienie, gdyż ci panowie byli bardzo spragnieni i piją właśnie w tej chwili.

Kilka osób pobiegło na balkon a wychyliwszy się ujrzało barona i kapitana gramolących się z płytkiej wody na brzeg i uwalanych w okropny sposób błotem. To Klemens i Ludwik sprawili im taką niespodziankę.

Nazajutrz w małym lasku niedaleko Schoenbrun miały miejsce dwa pojedynki. W pierwszym Thauziat, wyborny szermierz, ze zręcznością niemieckiego studenta zranił rapierem barona; w drugim Ludwik wpakował kulę w nogę kapitana.

Od tej pory Thauziat i Hérault stali się serdecznemi przyjaciołmi, jeden bez drugiego obejść się nie mógł. Być może, że dla słabego charakteru Ludwika, towarzystwo Klemensa nie było zbyt korzystnem i że lepiejby wyszedł mając spokojniejszego i z mniej burzliwym temperamentem mentora; lecz nikt nie zdoła uniknąć swego przeznaczenia a los dziwnie tragicznie miał spleść w przyszłości życie Ludwika i Klemensa.

Obecnie jednak widzimy ich bardzo spokojnie i z wybornym apetytem zajadających obiad w pałacyku Hérault. Uwijają się jak mogą, aby dogonić panie, które już do połowy obiad spożyły. Zresztą obie kobiety i stara i młoda przestały jeść spoglądając z nieukrywanem zadowoleniem na niespodziewanych gości.

— Powiedzże mi teraz niegodziwy chłopcze — zaczęła sędziwa pani Hérault, co się z tobą dzieje od tygodnia? Bo jeśli się nie mylę, przeszło tydzień cię już nie widziałam.

— Byłem z Klemensem w Anglii, babciu, pojechaliśmy aby zobaczyć na wyścigach jego klacz na której wielkie pokłada nadzieje, zdaje mu się, że zyska pierwszą nagrodę na wyścigach w Paryżu... Klacz ta jest córką Baronetty i Turlupina.

— A kiedyżeście wrócili?

— Dziś, babuniu.

— No, no, widocznie pociąg którym jechaliście opóźnił się bardzo, kiedy nie mogliście zdążyć na obiad — wtrąciła z uśmiechem babcia.

— Chcąc być szczerym, powiem, że przyjechaliśmy dziś rano, lecz najpierw udałem się do Saint-Dénis, aby zobaczyć co się dzieje z interesami. Następnie ubrałem się i poszedłem do klubu... Pomimo to moglibyśmy być tu na godzinę siódmą, gdyby nie Thauziat, któremu przyszło do głowy ścigać przez ulicę jakąś modniarkę, której zgrabna postawa zwróciła jego uwagę.

— Ślicznych rzeczy dowiadujemy się o panu, szanowny panie Klemensie — zaczęła panna Lereboulley, której szare oczy zaiskrzyły się dowcipem — przynajmniej raz na jaw wyjdą różne twoje sprawki... To pan ścigasz po ulicach młode dziewczęta? piękny z pana rycerz... Ależ zastanów się nieoględny człowiecze, cóż ci tym sposobem pozostanie na starość?

Thauziat nie wzruszył się bynajmniej tym potokiem słów żartobliwych.

— Nie słuchaj pani oszczerstw tego młodzieńca, który chce mnie najwyraźniej oczernić przed panią — rzekł. — Za karę zaś, że śmiał mnie zaczepić, odpłacę mu się w dwójnasób... Jeżeli panie chcą wiedzieć powód naszego opóźnienia, to powiem otwarcie, iż tylko Ludwik temu winien. Uparł się koniecznie wstąpić przed obiadem do pani Olifaunt.

— I cóż, widzieliście piękną Diannę? — z ironicznym uśmiechem spytała panna Lereboulley.

— Nie, piękna pani spała jeszcze.

— Spała o siódmej wieczorem? Ah, prawda, zapomniałam, że to jej zwyczaj, wszak dziś idzie na bal na którym chce wyglądać świeżo jak jutrzenka i dlatego cały dzień leży w łóżku. Diana dba o swoją piękność, strzeże jej jak kosztownego klejnotu, co za szkoda, że nie może ją przechowywać w szkatułce razem z brylantami i wyjmować tylko na wielkie uroczystości!... Ale niestety każdy rok, miesiąc a nawet dzień każdy ujmują powabu jej wdziękom... To też Dianna nie mogąc powstrzymać biegu czasu, unika znużenia, któreby mogło przyspieszyć ukazanie się pierwszej zmarszczki na jej czarującem obliczu... Można by to nazwać umiejętną administracyą piękności, tem bardziej, że pani Olifaunt posiada znakomitego zawiadowcę majątku, mianowicie swego męża, szanownego sir James... Zobaczycie, że któregokolwiek dnia otworzą bióro informacyjne.

— Emilio! — zawołał Ludwik z wyrzutem — korzystasz z każdej sposobności wyrażenia się złośliwie o pani Olifaunt. Jesteś dla niej tak niedobra!

— Za to mój ojciec jest aż na zbyt dobry! Zdaje mi się że Dianna nie może wymagać łask i względów od całej naszej rodziny!

W pokoju przykre zapanowało milczenie, przerywane tylko wymuszonym śmiechem Emilii.

Ludwik chcąc inny kierunek nadać rozmowie, zaczął pierwszy:

— Muszę cię przestrzedz babciu, że piękna nieznajoma, którą z taką natarczywością ścigał Thauziat, jest jedną z twoich lokatorek. Mieszka od strony Przedmieścia.

— Któż ci to powiedział?

— Odźwierny.

Pani Hérault z udaną zgrozą podniosła ręce do góry i rzekła:

— Piękne rzeczy słyszę!... Zabraniam ci Thauziat podobnego skandalu w moim domu... Ta osoba jest może uczciwą dziewczyną.

— Przynajmniej Anzelm tak twierdzi... Zresztą jej skromny ubiór jest aż nadto wystarczającem świadectwem... Gdy Klemens się nią zaopiekuje przestanie chodzić w wełnianych sukienkach a przed jej drzwiami będzie wyczekiwać powóz, aby drudzy tacy jak Thauziat nie biegali za nią po ulicy.

— I jakże się nazywa ta szczęśliwa lokatorka, która zwróciła na siebie uwagę naszego króla salonów? — spytała panna Lereboulley... — Pewnoście się o tem dowiedzieli od odźwiernego?

— Na imię jej Helena jak ongi tej co wznieciła pożogę wojny w Grecyi i Azyi — wesoło odpowiedział Ludwik — nazwisko rodzinne Graville.

— Graville! — przerwała staruszka — jest to nazwa wioski w której się urodziłam. O ile sobie przypominam, zamieszkiwała w tejże miejscowości w zamku rodzina tego samego nazwiska. Lecz jedynym spadkobiercą tych państwa, był syn a nie słyszałam nigdy o córce noszącej imię Heleny.

— Ależ babciu—wesoło przerwał jej Ludwik— gdybyś była znała ową Helenę, musiałaby ona teraz mieć około sześćdziesięciu lat, a osoba o której mówiliśmy jest młodą dziewczyną.

— To prawda — ze śmiechem zawołała pani Hérault. — My starzy ludzie zwykliśmy mówić o przeszłości jak o przygodach wczorajszego dnia. Życie upływa tak prędko, że nieraz zapominamy ile lat dzieli nas od młodości i nie chcemy wierzyć temu kto nam mówi, że z pół wieku przeminęło już od owej epoki!... Wtedy to właśnie wyszłam zamąż za twojego dziadka. Pani de Graville przyczyniła się dużo do mojego małżeństwa, za co jej bardzo byłam wdzięczna... Trzeba było w istocie lepiej pamiętać o obowiązkach wdzięczności, lecz mąż mój przeniósł się do Paryża i rzuciwszy się w wir interesów osiedlił się tu już stale. Ja z czasem zapomniałam także o rodzinnej wiosce, o zamku i jego dziedziczce co się tak dobrą dla mnie okazała... Tak to zwykle dzieje się w życiu... człowiek nieraz może być posądzonym o niewdzięczność, gdy tylko brak czasu i sposobności przeszkadzał nam do spełnienia moralnego obowiązku... Jeśli osoba o której mówicie należy do rodziny o jakiej wspominam, jesteśmy w obowiązku spłacenia jej długu wdzięczności.

— Będzie to rzeczą niezmiernie łatwą — rzekł Ludwik — gdyż zdaje mi się, że to zupełnie uboga dziewczyna. Tak więc Klemens odegrałby w tym razie rolę Opatrzności, naprowadzając nas na ślad osoby pochodzącej z rodziny Graville, którą zapewnie znałaś, babciu... Ale w Normandyi Graville'ów jest bez liku... to bardzo pospolite nazwisko.

— Muszę się dowiedzieć o tem szczegółowo — dodała pani Hérault.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

---

# WIADOMOŚCI
# Z RÓŻNYCH STRON.

Ubiegłe dnie odznaczyły się niespodziankami meteorologicznemi, godnemi naznaczenia. Mieliśmy burzę z piorunami, gradem i ulewnym deszczem; mieliśmy mróz z soplami lodowemi, a obecnie mamy już rozwinięte kasztany i otwarty ogród botaniczny, jako niewątpliwe znaki wiosennych promieni słońca.

Warszawiacy też krzątają się około osiedlin letnich w pobliżu Warszawy, ochotników do nich coraz więcej przybywa, liczba mieszkań zwiększa się, wymagania wygód odpowiednich wzmagają się, ceny rosną a kieszenie najmujących kurczą, zmuszonych do tego ogólnym zastojem handlowym.

Pisma także codzienne jednozgodnym chórem wędrownikom po obcych badach, zalecają miejscowe lecznicze zakłady. Czy rada spełnioną zostanie? Zdaje się, że wątpić nie należy, kieska chuda to także potęga z którą się liczyć należy.

Aby ją trochę podkarmić i nie dopuścić ostatecznego wycieńczenia, zabiegów nie brakuje. Są więc starania o zawiązanie spółek wywozu za granicę szynek, kiełbas i polędwic wieprzowych, masła, jaj i półgęsek. Wprawdzie skrupi się to na konsumentach, gdy te wywozowe materyały pokarmowe, naturalnem następstwem podniosą się w cenach na naszych targach, ale w układzie ogólnym stosunków społecznych, korzyści otrzymywane z nowych gałęzi przemysłu, rozlewają się na całą społeczność i różnemi drogami do każdego dochodzą. Łatwiej więc stękać i rozrzewniać się, gdy łzy jest czem ocierać.

Jeden z naszych Kuryerów donosi, iż reporter jego czyli mówiąc wykwintniej sylf a brutalnie... kompozytor brukowych nowinek, przebiegłszy w tych dniach prywatne lombardy, przekonał się, że we wszystkich znajduje się już w zastawie: futer męzkich 1240, damskich 948, mufek i kołnierzy 1458, suma zaś na te fanty wypożyczona, wynosić ma trzy tysiące rubli.

O ile to prawda trudno osądzić. Być może, że tak jest, bo to nic niepodobnego, ale być także bardzo może, że jest tylko wylęgiem bujnej wyobraźni. Wątpliwość to uzasadniona.

Niedawno w kilku pismach jednego dnia ogłoszono o ucieczce z ogrodu zoologicznego czterech niedźwiedzi, z tym dodatkiem, że jednego z nich natychmiast złapano i osadzono w klatce, drugiego zuchwalszego arkanem uduszono, a dwóch przepadło bez wieści.

Warszawiacy kręcąc głowami już naradzali się nad następstwami ztąd wynikającemi, gdy nagle na drugi dzień przeczytali ogłoszenie zarządu ogrodu, że cały ten wypadek jest najwierutniejszem kłamstwem, że kiedyś tam uciekła kaczka z ogrodu i ta się dotąd nieodnalazła, ale żadne podobne zdarzenie z niedźwiedziami, miejsca dotąd w ogrodzie nie miało.

W zeszłym tygodniu w Teatrze Wielkim, goszczące tutaj towarzystwo dramatyczne małoruskie pod dyrekcyą p. Starickiego, dawało na benefis swej primadonny panny Wierinej obraz ludowy, noszący tytuł: Noc Świętojańska (Nicz pid Iwana

Kupała). Autor tekstu, dyrektor trupy p. Starickij, na luźnem tle tragicznych wypadków gorącej miłości, roztoczył cały szereg scen obyczajowych z życia ludu małoruskiego, kreślonych z wielką prawdą i zapałem. W podobnyż sposób pan Łysienko żywcem poprzenosił do utworu muzykę pieśni ludowych małoruskich, obrzędowych, smutnych i wesołych, którym to ostatnim na scenie towarzyszą ogniste tańce. Całość utworzyła wprawdzie nie dzieło sztuki, lecz ruchliwy i ożywiony obraz etnograficzny, wyrazisty i prawdziwy niekiedy aż do przesady.

W wykonaniu, oprócz benefisantki p. Wierinej, odznaczyli się jeszcze: p. Mańkowska i p. Mańko, całość wykonania zyskała liczne oznaki zadowolenia widzów.

W tych dniach odbywał się w mieście naszem sąd polubowny, dotyczący załagodzenia sporu o działy majątku, przypadającego czterem osobom.

Każdy z interesowanych przedstawił jednego sędziego, a sędziowie mieli obrać superarbitrów.

Po długiej naradzie wybór padł na panią D., obywatelkę z okolic Garwolina, osobę znaną z inteligencyi, czego dała dowód rządząc majątkiem niezmiernie zawikłanym od lat kilkunastu.

Żeński ten superarbiter nadał kierunek sądowi polubownemu tak szczęśliwy, iż obie strony interesowane wyraziły z wyroku zadowolenie.

Dla upamiętnienia tego sądu złożono pani D. grupę fotograficzną.

W pośrodku znajduje się w medalionowym formacie podobizna pani D., a obok fotografie czterech sędziów, czterech stron spornych i wreszcie czterech adwokatów.

Nowe stowarzyszenie artystów malarzy, rzeźbiarzy i innych pracowników na polu sztuki, rozpoczęło już w Warszawie swoją działalność. Zapisało się dotąd 45 artystów, a między innymi pp.: Gerson, Biedroński, St. Zarzecki i kilku wybitniejszych rzeźbiarzy. Celem stowarzyszenia jest: 1) urządzenie i otwarcie w Warszawie stałej wystawy rzeźb, obrazów, szkiców i wogóle dzieł sztuki czystej oraz stosowanej do przemysłu (lokal odpowiedni już wynajęto); 2) urządzenie tymczasowych wystaw takichże przedmiotów w innych miastach królestwa; 3) ułatwienie artystom, pracującym w zakresie sztuki czystej i stosowanej, zbytu ich utworów; 4) przyjmowanie i wykonywanie robót kościelnych, portretowych, dekoracyjnych i t. p.; 5) wzajemne popieranie działalności artystycznej członków spółki, która zawiązuje się na lat 10 na prawach komandytowo-firmowych w Warszawie. Zakładowy kapitał spółki stanowi rs. 1450, który wnoszą wspólnicy firmowi, pp. Józef Pawłowski i K. Martynowski. Członek komandytowej spółki obowiązany jest wnieść jednorazowo najmniej rs. 25, jeżeli pracuje w zakresie sztuki czystej lub stosowanej, wszyscy zaś inni dają składki rs. 50. Akt spółki spisany został przed rejentem Aloizym Lilpopem, 27 Marca r. b.

Polka kapitanem okrętu. Jedna z naszych rodaczek, której rodzina mieszka stale w Peszcie, udała się do swojego stryja do Manchester, wespół z dwiema zamieszkałemi stale we Francyi swemi siostrami ciotecznemi, zdała świeżo egzamin marynarski w Anglii i jak donosi „Kraj", ma wkrótce otrzymać odpowiedni stopień. Nie pierwszy to już przykład tego rodzaju; coraz częściej bowiem w Anglii kobiety, po zdaniu odpowiednich egzaminów, otrzymują stopnie w marynarce, nietylko na spacerowych yachtach, ale także na statkach kupieckich. Przykład dała Ameryka, gdzie słynna ze swej urody pani Coons z New-Yorku, oddawna już jest kapitanem kupieckiego statku „Elżbieta". Inna jej koleżanka, pani Marya Miller z Nowego Orleanu, z pochodzenia Polka, od roku już 1884 jest kapitanem steamera „Saline".

Opodatkowana turniura. Dla uspokojenia naszych Czytelniczek zaznaczamy przedewszystkiem, iż rzecz dzieje się nie u nas, lecz w Serbii. Wiadomem jest, że minister skarbu, gdy jest w finansowych kłopotach, bierze pieniądze zewsząd, zkąd je dostać może, nie zdarzyło się wszakże jeszcze, aby jaki mąż stanu był do tego stopnia nieuprzejmy, by szukać źródła dochodu tam, gdzie go chcą znaleźć radykaliści serbscy. Otóż na jednem z ostatnich posiedzeń skupsztyny serbskiej, kilku deputowanych stronnictwa radykalnego oświadczyło, iż należy ciągnąć zyski dla państwa z nieustannie powiększającej się chęci strojów u płci pięknej. Według projektu tych nielitościwych radykałów, nadal każda Serbka, która nosić będzie biżuteryę złotą lub srebrną, albo też drogie kamienie, winna płacić państwu kwotę sześciu fr. rocznie; jeżeli zaś wartość klejnotów będzie przenosiła 100 fr., podatek wynosić ma 20 procent od wartości. Jeden zaś z przedstawicieli ludu, widocznie od innych radykalniejszy, oświadczył, iż prawo noszenia turniury nie jest zbyt drogo opłacone 20-tu frankami. Wniosek ów przekazano komisyi do przejrzenia. Maluczko, a płeć piękna w Serbii wobec tej nierycerskości sfer prawodawczych, podniesie wielki bunt.

W ratuszu Westminsteru w Londynie, urządzono wystawę robót niewiast polskich, przed odesłaniem ich na wystawę kobiecą w Glasgowie. Okazy pochodzą przeważnie z Galicyi. Wystawa miała powodzenie, poczyniono na niej duże obstalunki.

Z Krakowa piszą do nas: Katedra krakowska na Wawelu zbogaconą zostanie w tych dniach wspaniałym, prawdziwie magnackim darem. Na zamówienie Artura hr. Potockiego z Krzeszowic, głośny za granicą, a szczególniej w Anglii, gdzie długie lata przebywał, rodak nasz, Józef Hakowski, cyzeler, wykończył właśnie wykuwanie w srebrze dużej płyty, przeznaczonej na antepedium do wielkiego ołtarza w Krakowie. Płyta jest kopią wspaniałego obrazu Matejki „Zwycięztwo Sobieskiego pod Wiedniem" podarowanego jak wiadomo, Papieżowi Leonowi XIII. Długość jej dochodzi 5 metrów, wysokość 1 metra, a grubość 1 centymetra. Czyste srebro na wagę przedstawia wartość 3,000 złr. P. Hakowski pracował nad tem dziełem około 5 lat, a wszystkie figury obrazu, cały układ i wszelkie charakterystyczne cechy twarzy ludzkich, jak i akcesoryów, wykonane są ze zdumiewającą subtelnością. Nie jest to wklęsłe grawirowanie, lecz rodzaj rzeźby wypukłej, która sprawia w całości bardzo efektowne wrażenie. W kołach znawców sztuki oddają pracy tej najwyższe pochwały i uważają ją za najwspanialszy dar, jaki pełna pamiątek i zabytków katedra w latach ostatnich otrzymała.

Piękna ceremonia. Istnieje zwyczaj na dworze hiszpańskim, iż w czasie wielkiego tygodnia panujący z pomiędzy skazanych na śmierć ułaskawia trzech. W r. b. rejentka Krystyna ułaskawiła ich ośmnastu. Ceremonia ułaskawienia odbyła się w kaplicy pałacowej w Madrycie. Odprawiający nabożeństwo w zastępstwie patryarchy Indyj, jałmużnik dworu, w chwili adoracyi zbliżył się do rejentki, a wskazując palcem złożone na stole wyroki śmierci skazanych, zadał jej tradycyonalne w tych razach pytanie:

— Czy pani, wasza królewska mości, zbrodniarzom tym przebaczasz winy?

— Przebaczam, jak pragnę, aby mi moje Bóg przebaczył — odparła rejentka, składając ręce na wyrokach.

Podobno królowa wzruszoną była bardzo, wymawiając słowa, któremi 18 ludziom wracała życie. Piękna ceremonia.

Władze Madrytu urządziły w hipodromie wielką zabawę dziecinną, w której wzięło udział 14,000 dzieci ze szkół miejskich i przytułków dla sierot. Zabawa odbyła się w obecności królowej-rejentki i całego dworu. W sukniach odświętnych maszerowali chłopcy i dziewczęta z chorągiewkami w ręku, ku wielkiej radości małego monarchy hiszpańskiego, który na ich widok śmiał się głośno i klaskał w rączki.

Malcy śpiewali hiszpański marsz koronny i inne pieśni narodowe, poczem dzieci stanęły szeregiem przed trybuną królewską i każde z nich otrzymało bułkę z pasztetem cielęcym, pomarańczę, orzechy i słodycze; na pasztet spotrzebowano 414 klgr. mięsa. Komisya, złożona z dzieci wręczyła przed rozpoczęciem zabawy nieletniemu królowi oraz infantkom albumy z pracami kaligraficznemi, zaś wszystkim obecnym w loży królewskiej monety pamiątkowe z wizerunkiem Alfonsa XIII.

Na otaczających hipodrom wzgórzach, zgromadziły się tłumy ludzi i przyglądały interesującemu widowisku.

Jenerał Boulanger zyskuje sprzymierzeńców w coraz szerszych warstwach społeczeństwa francuzkiego; obecnie już zbuntowani aresztanci urządzają manifestacye na cześć przyszłego dyktatora Francyi.

W jednym z fortów nieopodal Bordeaux miał miejsce bunt aresztantów, który wszakże szybko uśmierzony został przez sprawujących straż żołnierzy, przyczem jeden z aresztantów uległ ciężkiemu poranieniu. Z przyczyny tego zajścia władza poleciła, aby sprawcy buntu przewiezieni zostali do innego więzienia, a w chwili gdy mieli wsiadać do omnibusu, zwrócili się do zgromadzonej na ulicy publiczności i zaczęli śpiewać: „c'est Boulange, lange, lange!" Pozostali aresztanci zawtórowali piosence, straż rzuciła się na nich, chcąc ich uspokoić, aresztanci pochwycili za narzędzia, jakie mieli pod ręką, nastąpiła bójka z nadzorcami, następnie aresztanci zabarykadowali się w celach swoich wrzeszcząc: „Precz z Carnotem, niech żyje Boulanger!" Nareszcie udało się nadzorcom pochwycić głównych przywódzców buntu, reszta zaś, głodzona przez dwa dni, otworzyła wreszcie drzwi więzienia.

Nie ma co mówić, popularność jenerała wzrasta.

— W roku zeszłym — odzywa się doktor do jednej z pań zamożnego świata — Francensbad wybornie pani posłużył.

— Oh! w tym roku za nic Francensbadu nie chcę...

— Bo niepotrzebny, pani tak ślicznie wygląda...

— Oh! doktorze, nie żartuj i zapisz mi tylko prędko, nową jaką chorobę morskich kąpieli wymagającą, innej nie chcę.

* * *

Następujący dyplom honorowy był przed kilku tygodniami w Wiedniu powodem skargi o obrazę: „Nominacya. Niżej podpisane zwierzchnictwo czuje się w obowiązku, za znakomite czyny pani na wszelkich polach wyższego plotkarstwa, mianować panią jednogłośnie członkinią honorową tutejszego „stowarzyszenia plotkarskiego”. Chwalebna działalność pani na polu obmowy, jej biegłość w osławianiu, dzielność, jakiej składa dowody, wtrącając się do cudzych spraw, szpiegując małżonków, wzbudzając w nich podejrzenie przeciw żonom, oczerniając młode panny w oczach ich konkurentów, jak w ogóle zdolność niepozostawiania na nikim suchej nitki w połączeniu z wytrwałością w pisywaniu listów bezimiennych, czynią panią ze wszech miar godną tego zaszczytu. Ponieważ stowarzyszenie nasze posiada różne sekcye, przeto zostawiamy pani wolny wybór, do której z tych sekcyi należeć pani zechce, jakkolwiek zdolności upoważniają panią do objęcia stanowiska nadplotkarki wszystkich oddziałów. Mając nadzieję, iż pani w nowej swej godności przyniesie zaszczyt naszemu stowarzyszeniu i że uda się pani w ciągu roku wywołać liczne sceny domowe, jak również kilka rozwodów, pozostajemy z wyrazami najwyższego szacunku. Zwierzchnictwo bezimiennego towarzystwa „stowarzyszenie plotkarskie” oraz N. Ksantypa Urszula Knochenfrasse, pięciokrotnie rozwiedziona małżonka, urodzona v. Schlagzung”.

* * *

Lwy Sary Bernhard. Po śmierci swego tygrysa, ekscentryczna artystka sprawiła sobie parę młodych lewków, które są obecnie przedmiotem ciekawości publicznej i źródłem reklamy. Posłużyło to jednemu z współpracowników *Gaulois* za temat dowcipnej farsy. Opisuje on interview owych lwów. Oto rozmowa, niby prowadzona z „bestyami“ w gościnnym salonie „Toski“:

— Kto wy jesteście?

— Jesteśmy lwie bliźnięta: Scarpia i Justynian, mamy 6 miesięcy życia, rodem z puszczy algierskiej.

— Jak wam się tu podoba?

— Doskonale, żywność bardzo dobra.

— Nie jesteście drapieżni?

— Ani źdźebła! myśmy jeszcze łagodne szczenięta. Drapieżnymi będziemy dopiero po 18 miesiącach.

— A wiecież coś o projektach, jakie względem was ma wasza pani.

— Naturalnie. Pan Sardou na przyszły rok napisze sztukę „La Bidella“, w której wystąpimy razem z naszą panią.

— I godzicie się na to?

— Cóż mamy robić! zmuszono nas poprostu. Ale...

— Co za ale?

— Ale w piątym akcie otrzymamy należyte honoraryum. Gwałtownym skokiem rzucimy się ze sceny na krzesła i ja pożrę pana Alberta Wolffa, zaś mój brat, który jest większym smakoszem, pana Besson. (*)

RÓŻNE MYŚLI.

Państwa giną raczej przez to, że gwałcą obyczaje, niżeli, że gwałcą prawa.

*Montesquiu.*

## NOWE KSIĄŻKI.

### Nadesłane do Redakcyi.

**Zarys Geografii Powszechnej** (rozumowej), napisał Wacław Nałkowski. Nakład księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

**Sto wskazówek praktycznych** dla domu i gospodarstwa, z dołączeniem tabeli wywabiania plam sposobem łatwym i domowym; zebrała i ułożyła doświadczona Warszawianka M. Niemitra. Cena 20 kopiejek.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

*Panu M. B. R.* Aby z próbek nadesłanych coś można pewnego wróżyć o posiadanych zdolnościach, trzeba bliżej znać Autora a przynajmniej jego wiek i wykształcenie umysłowe. W wierszyku *Po komunii* niedostatki są wielkie ale przebija w nich serdeczne uczucie duszy podniesionej religijnem wzruszeniem dokonanego aktu. Dwa drugie wierszyki dość słabe, znać jednak w nich poczucie formy i pamięć na jej konieczność.

*Pani Z. M.* Aby nauczka w odpowiedziach mogła wywrzeć zbawienny wpływ na synka i córeczkę, prosimy o bliższy opis ich niezgody a wówczas napisaną zostanie odpowiednia powiastka, która z pewnością przeczytana w Przyjacielu Dzieci przez małych winowajców, zbawiennie na nich oddziała. Na usprawiedliwienie tego, moglibyśmy mnóstwo dowodów złożyć.

*H. Gliwicowi.* Zadanie będzie ogłoszone.

## ZAWIADOMIENIA.

BIURO KAUCYONOWANE rekomendacyi Guwernerów, Guwernantek i Bon, Eugenii Hennelowej, dawniej Heleny Dąbrowskiej. Krakowskie-Przedmieście N-r 79, mieszkania N-r 28. (Dom SS. Piotrowskich, Pasaż Roeslera.)

(*) Pierwszy jest dyrektorem a drugi impresaryem artystki.



PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 18 wyszedł z druku i zawiera:

Podróż Mickiewicza. — Aleja z drzew palmowych (drzeworyt). — Do fiołka (wiersz). — Widmo w jadalni (komedyjka). — Obozowisko Indyan (z drzeworytem). — Natura i płody ziemi w Rossyi. — Widok z Jaworyny na Karpaty (drzew.). — Czyny nauczające. — Zbłąkany. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Przygoda pewnych panienek. Pasożyt wśród kwiatków (wiersz). — Z opowiadania podróżnika (z drzeworytem). — Andzia dręczycielka (wiersz). — Herr Johan. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.




Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Апрѣля 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy)


**Dodatek.**